



Krzysztof Kuś

Pogranicza czasu

Opowieści magiczne

Krzysztof Kuś

Pogranicza czasu

Opowieści magiczne

© Copyright by Krzysztof Kuś & e-bookowo

Korekta i redakcja: Marta Bluszcz

Zdjęcia na okładce i projekt okładki: Magdalena Lubecka

ISBN e-book: 978-83-8166-478-3

ISBN druk: 978-83-8166-479-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2025

Ukochanym Rodzicom

Prolog

Kraków tonie w gęstej, listopadowej mgle. Jesień pachnie wilgocią, butwiejącymi liśćmi i tą chyba tylko tutaj obecną, leniwą mistyką przemijania. Wawel wydaje się zupełnie opustoszały. Baszta Sandomierska ginie całkowicie w mlecznej poświacie. Wisła chyba stoi w miejscu, na pewno w tym konkretnym momencie nie płynie, choć kto to tak naprawdę może wiedzieć? Ulicą Bernardyńską jedzie dorożka zaprzęzona w dwójkę karych koni.

Arkadowy dziedziniec spowija cisza. Kilkuletnia najwyżej dziewczynka, z burzą złotych włosów na głowie, której zagadkowe, a przy tym tak bardzo piękne oczy błyszczą najprawdziwszym szczęściem, dosłownie przed chwilą stała na nim ze swoimi rodzicami, opierając się plecami o jedną z bocznych ścian tuż obok głównej bramy. Teraz już powoli wszyscy wychodzą, mijając po drodze chłopca z kręconymi włosami, rozglądającego się z zaciekawieniem na wszystkie strony. Najwyraźniej próbuje on coś istotnego wytłumaczyć swojej mamie i tacie, wskazując z przejęciem ręką na jedno z zamkowych okien. Wtedy właśnie słyhać jakąś odległą, absolutnie nierzeczywistą muzykę. Dzieci nagle zatrzymują się i patrzą na siebie. Na krótką, nieoczywistą chwilę ich spojrzenia się spotykają. Powietrze wydaje się wręcz naelektryzowane, a niewidoczny prąd przeskakuje pomiędzy nimi. Oboje uśmiechają się do siebie, a potem wszystko się zmienia, czas przyspiesza i nic już nie jest takie, jak było wcześniej.

Wicher wyje przeraźliwie, choć zadymka na szczęście już się skończyła. Ze wzgórza rozpościera się cudowny widok na zasypane śniegiem, zmrożone miasto. W oddali majaczą białe, tajemnicze i niedostępne góry. Sypialnia królowej jest rozświetlona pastelowym światłem bijącym z dwóch srebrnych, misternie zdobionych lichtarzy. W kominku płonie ogień. Woń piżma i różanej wody wydaje się wyraźna, zmysłowa, wręcz natarczywa. Młodzieniec, kochanek, syn jednego z senatorów, który właśnie wrócił z Bolonii, gdzie zresztą studiował, klęczy przed władczą damą, z oddaniem całując jej stopy. Potem jego drżące, spragnione usta zaczynają wędrówkę, podróż pożądana, dziką ekstazę zmysłów, tę nagą pielgrzymkę do źródeł najprawdziwszej rozkoszy. Pocałunki obsypują alabastrowe uda, marmurowe piersi, by ostatecznie utonąć w bezkresie miękkiego, atlasowego łona. W końcu padają na pokryte jedwabnym baldachimem łoże. Nie ma już żadnych granic. Czas także przestał istnieć. Na wieży katedralnego kościoła bije dzwon. Wszystko jest już teraz alchemią, miłosną pieśnią, perwersyjną lubieżnością i najbardziej wyuzdaną magią.

Pustynia

Hutki o wpół do dziewiątej rano spały jeszcze ciche i zupełnie puste. Była niedziela 19 marca, tak mniej więcej rzecz jasna. Pogranicze zimy i wiosny emanowało leniwą mistyką tego, co nieoczywiste. Szlak powoli przeciągał się, budził, rozprostowywał zastane kości, by za chwilę pomknąć galopem dzikich, spłoszonych nagle koni prosto w nieskończone objęcia wczesnej jeszcze, ale przecież tak bardzo wyraźnej, dosadnej, obszernej, doprawdy rubensowskiej w tym roku wiosny.

Świeżo wyasfaltowaną drogą, która prowadziła do dużego, modnego ośrodka rekreacyjnego, takiego nowobogackiego rajy dla znudzonych wszystkim snobów, jechał luksusowy samochód z przyciemnianymi szybami. Drugi, mniej więcej podobny, zmierzał w przeciwnym kierunku. Szlak, który wyrzucił się właśnie z porannych mgieł, strząsając z siebie przy tym chłodną, krystaliczną rosę, wydawał się już nawet temu wszystkiemu nie dziwić. To życie przecież od początku do końca było udawaniem, kłamstwem i cyniczną grą pozorów. Za wysokim parkanem fałszu rozgrywał się każdego dnia fikcyjny teatr, taki niezmienny, rutynowy, nudny w istocie i kompletnie nonsensowny.

Tuż obok starej, wiekowej zapewne sosny stała sobie dwójka niepozornych w gruncie rzeczy turystów. Las szumił delikatnie, a jego zapach wydawał się subtelny i bynajmniej nie natarczywy.

– Wiesz, nie rozumiem tego wszystkiego, Czarodzieju. – Kobieta dojadła właśnie kanapkę, powoli chowając termos z kawą do dużego plecaka.

Mężczyzna początkowo milczał, najwyraźniej zaśłuchany w rozbrzmiewającą właśnie krzykliwym tremolo skrzypiec ptasią symfonię.

– Tak ciężko dzisiaj znaleźć tę najprostszą, zwykłą normalność – odpowiedział w końcu. – Świat zupełnie zwariował i wszystko jest postawione na głowie – dodał jeszcze po chwili, patrząc na swoją towarzyszkę z wyrazem tego nigdy niesłabnącego młodzieńczego uwielbienia, rozkochania, fascynacji i zachwytu.

Kolejne niebotycznie drogie auto jechało właśnie od strony hotelu. Ruda wiewiórka spacerowała beztrąsko po jednym z drzew, aż w końcu znikła w jego strzelistej koronie. Pierwsze promienie słońca muskały twarze wędrowców swoją nieco wstydliwą jeszcze, ale przecież tak bardzo powabną i czułą pieszczotą.

Pięknie było tutaj, w tej mitycznej oazie nasyconej baśniową alchemią, pradawną magią i tajemną siłą. Wrócili w swoje niezreczywiste, zaczarowane miejsce, gdzie kilka lat temu tyle się zdarzyło, zaczęło właściwie, powtórnie zrodziło. Czuli w sobie spokój i absolutną pewność, że wszystko jest dokładnie tak, jak przecież być powinno. Po bezkresnej pustce nieba, które tu i tam prześwitywało przez malachitowy baldachim boru, prześlizgiwały się pojedyncze, pełne lirycznej gracji obłoki. Woń mokrego mchu kusila swoją namiętą ekscentrycznością, a rozkwitająca właśnie w najlepsze leśzczyna przekonywała niezbitcie, że zima jest już tylko przeszłością, wspomnieniem, niebytem i ostatecznie czymś zupełnie nieistotnym przecież.

Przez te ostatnie lata, które przeżyli wspólnie, niczego nigdy nie żalowali, no może tylko tych straconych kiedyś bezsensownie i głupio dni. Tamto jednak na szczęście odeszło, definitywnie zamknęło się, znikło wreszcie, a to, co przyszło, trwało nadal, umacniało się, pogłębiało i rozwijało. Odnaleźli swoje szczęście i mieli teraz wszystko, tak do końca i na zawsze – tego bezwarunkowego trwania byli doprawdy pewni. Nikt przecież nie odbierze im już nigdy tej cudownej normalności, zbudowanej w istocie własnymi siłami, momentami mozolnie, z trudem, ale zawsze przecież świadomie i z rozmysłem.

Czerwony szlak ruszył nagle i bez ostrzeżenia. Po lewej to-nęła w milczeniu Góra Chełm. Droga najpierw leciała asfaltem, by zaraz za małym placem zabaw i boiskiem zagłębić się w ko-jącą wszystkie zmysły knieję. Dukt wznosił się następnie ostro w górę, przez piaszczyste łąchy i moreny, po czym zbiegał z bez-imiennego szczytu już bez hamulców, prosto w dół, na łeb, na szyję, byle tylko szybciej i raźniej. W lesie, tuż po prawej, była wstydliwie schowana Mała Łysa Pałka, a jakby odbić w prze-ciwną stronę i pójść na przełaj, zupełnie intuicyjnie, prędzej czy później na pewno pojawiłby się przecież Sowi Dół. Trasa pomykała jednak chyżo naprzód, mijając bezimienny grób nie-mieckiego żołnierza, przy którym ktoś położył – pewnie jeszcze w ubiegłym roku, przed zimą, te kilka miesięcy temu, późną li-stopadową porą – zwiędłe już teraz i zasuszone zupełnie kwiaty, zapalając zarazem jeden mały, niepozorny zupełnie znicz, który potem przewrócił się i rozbił o ostry jak brzytwa kamień.

Wędrownicy stąpali ostrożnie przedziwnymi meandrami dziewiczego jeszcze dla nich szlaku. Słońce wznosiło się wciąż

wyżej, a korony rozłożystych sosen szumiały na coraz cieplejszym wraz z każdą upływającą godziną wietrze cichą pieśń tej pierwszej, dopiero się poczynającej, tak uroczej i niewinnej w swojej dziewczęcej krasie wiosny. Zagadkowe, ni to płytkie, ni to głębokie jary, które dostrzegali po obu stronach drogi, pewnie kiedyś tu i tam toczyły swoimi suchymi dzisiaj dnami krystaliczne wody. To jednak było bardzo dawno temu, całe wieki pewnie. Potem potoki zniknęły, a resztę porwał już na strzępy rozedrgany płas mrocznej niepamięci.

Wiedźma i Czarodziej szli zamyśleni, szczęśliwi, tak bardzo spełnieni. Mieli wszystko i niczego już więcej nie potrzebowali. Milczeli, no bo przecież rozumeli się bez słów. Warto było kiedyś pójść pod prąd, na przekór wszystkim i wszystkiemu. Stanowili teraz niepodzielne jedno, tutaj właśnie, gdzieś na szlaku, wśród pozarastanych pól i zastygłych już na zawsze w splotach czasu lasów.

Po lewej stronie płynęła niechybnie Centuria. Potem minęli kolejne źródła. Było też gospodarstwo agroturystyczne i smażalnia pstrągów. Szlak zdecydowanie parł jednak naprzód, a oni płynęli wraz z nim przez mozaikę nagich jeszcze łąk, kalejdoskop wspomnień, przez chrzęszczące wapiennym kurzem drogi. Ogromne bale świeżo ściętego drewna, które ktoś pracowicie poukładał w równe stosy, oddawały ostrą, żywiczną woń. Gęsty i intensywny sosnowy aromat miał w sobie bezsprzecznie coś z perwersyjnego wyuzdania, tej dzikiej rozkoszy wyzwolonych z wszelkich kajdan zmysłów, gdy namiętność rozlewała się szeroką strugą, topiąc wszystko swoim swawolnym szaleństwem w jednej krótkiej chwili. Olfaktoryczna kakofonia pożądania

uderzała najpierw ostrym dysonansem w nieprzygotowane wcześniej na to nozdrza, by po chwili nieco się wyciszyć, tak jakoś miękko ułożyć, gasnąc w końcu długo i powoli, leniwie, gdzieś na obrzeżach postrzegalnych światów.

Chechło, do którego wreszcie doszli, nie było ani małe, ani duże, ale takie w sam raz, zgrabne i na pewno odpowiednie. W centrum wioski znajdował się kościół. Przytulał się do niego cmentarz i plebania, która wydawała się czymś absolutnie niezreczywistym, wyrwanym z innej epoki, zawieszonym w tym baśniowym, zamierzchłym i utraconym raz na zawsze czasie. Całą świątynię otaczał kamienny mur z niewielkimi, proporcjonalnymi wieżami. Wnętrze budowli tonęło w nieco posępny, pastelowy półmroku. Pachniało kadzidłem, pastą do posadzek i świeżymi kwiatami. Zaraz miała odprawiać się suma, więc przycupnęli w bocznej ławce – na chwilę tylko. Właśnie ćwiczył młodzieżowy zespół muzyczny, jakaś starszka modliła się teatralnym szeptem, kilka osób wchodziło na nabożeństwo, młoda matka uspokajała swoje rozwrzeszczane dziecko. Cudowny obraz Maryi, ten w głównym ołtarzu, słuchał od dziesięcioleci wciąż tych samych, powtarzalnych, oklepanych, niemych prośb. Wyszli powoli z kościoła i poszli na cmentarz. Ten powitał ich smętną melancholią i zapomnianymi mogiłami partyzantów, których krople krwi wsiąkły już na zawsze w zimną, niespokojną, wiecznie głodną nowych ofiar ziemię.

Szlak został gdzieś z boku, pozornie tylko wydając się tym niezainteresowany. W istocie patrzył on, chłonał, rejestrował wszystko swoim byстрыm okiem. Tak – droga nad czymś

myślała, by w końcu ostatecznie dać spokój i zatrzymać się na moment, dosłownie rozpuszczając się w błogim ciepłe marcowego przedpołudnia.

Wiedźma i Czarodziej musieli jednak ruszać dalej, czuli przecież ten wewnętrzny imperatyw gdzieś głęboko w sobie. Wędrowanie wszelakie zawsze było dynamizmem, ciągłą zmianą, nieustannym marszem, a wszelka stagnacja jawiła się jako li tylko chwilowe zebranie myśli, przegrupowanie sił i opracowanie takich czy innych planów. Szlak, którego oficjalnie nie było, choć tak naprawdę istniał, wystrzelił nagle, nie wiadomo skąd, jak korek od szampana, pomknął w tył, zrobił szybki obrót i gwałtownie pobiegł na prawo. Potem wystarczyło jeszcze kilka niepozornych kroków i oto nagle wszystko zniknęło. Niebył był absolutny, a wszem i wobec rozpościerała się idealna niemalże pustka. Ocean bezdennych piasków mrużył wielkie oczy, prażył w ostrym, południowym słońcu swoje rozchełstane cielsko, rozbłyskując tu i tam migotliwymi ognikami kwarcu, a wiatr, nieskrępowany wreszcie i wolny do końca, kręcił piruety, różane klejnoty szlifował, śmiejąc się przy tym beztrosko, szczerze, dziecinnie wręcz. Żadnej ścieżki już teraz naprawdę nie było, a każdy krok męczył, tak jakby szło się w świeżym, gęstym, głębokim śniegu. Z jednego ze wzgórz okalających pustynię – może była to Czubatka, a może Dąbrówka – roztaczał się szeroki widok. Oaza Białej Przemszy czarowała orientalną erotyką rozbudzonej nagle kobiecości, kominy papierni w Kluczach dymiły niemiłosiernie, a wieża kościoła w Błędowie wydawała się dziwnie odległa, niedostępna i należąca do jakiegoś tajemnego, zupełnie innego wymiaru.

Ruiny niemieckiej strażnicy obserwacyjnej z czasów ostatniej wielkiej wojny były dokładnie tam, gdzie powinny się znajdować. Te pokruszone mury przeszłości wciąż wywoływały zimny dreszcz, przyprawiały o gęsią skórkę, straszły i przestrzegały zarazem. Żłote ławice piasku kontrastowały z nimi, implikując pełen nonszalanckiej bez troski stan. Wędrowcy stali i patrzyli całkowicie zahipnotyzowani, sycąc swoje spragnione zmysły ową tak bardzo nierealną, nierzeczywistą, całkowicie niewyraźną, przemijającą zresztą bardzo szybko przecież impresją, fatamorganą tej konkretnej chwili, gdy wszystko znikło wreszcie, a wysoka wydma rozpadła się, wybuchła wręcz, pryskając przy tym gejerami zeszkłonego kwarcu daleko i wysoko, na każdą stronę, aż cała szeroka przestrzeń wokół pokryła się ciemnym, gryzącym, posępnym tu manem szarego pyłu.

Burza rozszalała się już na dobre. Pioruny strzelały, zaczął też padać dziwny, gorący deszcz. Napęczniałe aż do granic możliwości krople z parzącym sykiem leciały z zasnutego całkowicie sinoliliową mgłą nieba. Kałuże, które błyskawicznie potworzyły się w nierównościach gruntu, skwierczały, wrzały, bulgotały i parowały. Pachniało siarką i jakąś zbutwiałą, zgniłą wonią. Ile to wszystko trwało, trudno było tak naprawdę precyzyjnie określić. Całkowicie niepodważalny fakt stanowiło chyba tylko to, że wędrowcy w pewnym momencie, natychmiast, od razu, bez chwili zastanowienia, no bo przecież za kilkanaście sekund mogłoby być już za późno, po prostu uciekli, wycofali się w popłochu, nie czekając na dalszy rozwój wypadków. Spienionym cwałem pobiegli w kierunku pobliskiego

lasu, a potem przez wymarłą wieś dotarli, dysząc i sapiąc, do rozwidlenia szlaków. Tu mogli wreszcie trochę zwolnić, odpuścić, zaczerpnąć tchu, choć wciąż trzeba się było mieć rzecz jasna na baczności, jak zawsze zresztą.

Czerwone znaki przestały być nagle potrzebne. Dalej prowadziły ich już te czarne, smoliste, piekielne swoją antracytową, tak bardzo narzucającą się wieloznacznością. Asfaltowa szosa biegła w kierunku Skałbani. Po niebie żeglowały postrzępione obłoki. Ptaki znowu zaczynały ozdobić i kwieścić śpiewać. Dłonie turystów spłotyły się samoistnie, złączyły w mocnym uścisku. Razem szło się im bezpiecznie, wygodnie i pewnie. Można było tak kroczyć w nieskończoność prawie, nie dbając zupełnie o czas, o cel, o to czy nawet jeszcze o tamto. Po prostu wciąż iść przed siebie, rażno i z uśmiechem, po piaszczystych połoninach, z tyloma cudownymi kontrastami w tle. Tak – iść, iść i jeszcze raz iść. Zawsze już razem, codziennie, we dwoje. Iść i iść, po prostu iść.

Mijali leniwe rozlewiska Centurii. Na niewielkim drewnianym moście na moment zatrzymali się i patrzyli na wartki prąd całkiem już okazałej w tym miejscu rzeki. Kolorowe kamyki na dnie opalizowały w kryształowych rozbłyskach wody. Rozmiękła ziemia pachniała intensywnie. Czuć było wyraźnie budzące się nagle po tylu miesiącach uśpienia życie. Stare wreszcie odchodziło, by zrobić miejsce nowemu, które pewnego dnia także przecież będzie musiało skapitulować na rzecz tego, co świeższe i aktualniejsze. Ta odwieczna prawda istnienia wciąż aktualizowała się, stawała i ponawiała. Tak było i będzie zawsze, do końca, a nawet na wieczność całą.

Wczesne popołudnie wydawało się senne, oniryczne, melancholijnie nawet, gdy siedzieli na niewielkiej ławce w bezpośrednim sąsiedztwie ocembrowanego źródła. Święty Jan Nepomucen patrzył nich swoim kamiennym wzrokiem. Jakieś małżeństwo, bynajmniej już nie pierwszej młodości, w milczeniu nabierało wodę wytryskującą obficie z niewielkiej szczeliny w betonie. Obok nich stało kilkanaście pełnych już plastikowych baniaków. Para musiała nappełnić jeszcze tylko te trzy ostatnie i mogła wracać. Ich syn, jak podpowiadał zawsze wiedzący wszystko szlak, kilkunastoletni najwyżej młodzieniec z gęstą czupryną jasnych włosów na głowie, siedział na tylnym siedzeniu w samochodzie i patrzył bezmyślnie w ekran telefonu. Wydawał się przy tym całkowicie nieobecny, wyalienowany i zarazem tak potwornie, nad wyraz, bardzo zmęczony. Staruszka w kolorowej chustce na głowie czekała cierpliwie na swoją kolej, trzymając w prawej, lekko trzęsącej się dłoni sękaty kij. Materiałowa, staroświecka torba z trzema lub czterema pustymi butelkami po mineralnej wodzie – wiadomo przecież, że ta tutejsza była lepsza, zdrowsza, a przede wszystkim tańsza – stała w pobliżu pokrzywionych nóg kobiety. Szlak, który cały czas starał się być niewidoczny, pochylił się nad źródłem, wykorzystując krótki moment, gdy małżeństwo odeszło, a strudzona życiem, schorowana emerytka jeszcze nie zdążyła podejść, zwilżył swoje spierzchnięte długim marszem w pierwszym, wczesnowiosennym upale usta, potem zaś pił duszkiem, smakował, oblizywał wargi, chleptał i siorbał z najprawdziwszą rozkoszą. W końcu, wypoczęty i zrelaksowany tym krótkim, zatrzymanym na moment kadrem, z nową energią poleciał przed siebie, na łeb, na szyję, prostą jak strzała drogą.

Błojec, do którego właśnie doszli, był przysiółkiem pobliskiej Grabowej. Stojący tuż obok nich pomnik upamiętniał pacyfikację osady przez hitlerowców. Niewiele tak naprawdę się tutaj zmieniło. Zarówno wtedy, jak i dzisiaj stało zaledwie kilka gospodarstw. Poza tym zawsze rósł tu las, a po jego przeciwnej stronie rozpościerały się nieskończone, lekko pofalowane uprawne pola. Przeszłość tylko pozornie odeszła, o czym już niebawem mieli się przekonać wędrowcy. Gdy właśnie mieli odchodzić, gdzieś w nich samych otworzyła się jakaś tajemna furta czasu. Ptaki zamilkły w okamgnieniu. Światło zgasło raptownie. Nagle z wilgotnego olchowego lasu wynurzyły się widmowe postacie – wychudzone, wynędzniałe, brudne i obdarte. Martwe w istocie szkielety z trudem pokonywały kolejne metry, raz po raz potykając się i upadając. Ten i ów trzymał na kościstych ramionach karabin, mierzył, wpatrywał się w chybotającą muszkę. Szczękały zamki zardzewiałej broni, powietrze zdawało się niemalże naelektryzowane, czarny kruk siedział na jednej z gałęzi odwiecznego dębu, ale poza tym nic, kompletnie nic się nie działo. Obraz zaczął się rozmywać, aż w końcu wszystko zniknęło. Tylko z czasem ciągle coś było nie tak. Wszystko wydawało się stać w miejscu, stężałe, martwe i zupełnie odrealnione. Od strony zarosłych, dawno już nieuprawianych zagonów niósł się przeraźliwy krzyk. Tak szybko, jak się pojawił, tak gwałtownie umilkł, urwał się, a cisza wzbierała z każdą sekundą dojmującym dźwiękiem tej najstraszniejszej, bo nigdy przecież nieodkupionej, uwięzionej już na zawsze w okolicznych lasach żołnierskiej samotności.

Szlak zerwał się nagle, skręcił w prawo i obficie plamiąc niebieską farbą, szaleńczo dysząc, uciekł w kierunku majaczącej

nie tak znowu daleko Grabowej. Kościół parafialny był pusty. Nabożeństwo skończyło się kilkanaście minut wcześniej, wierni już dawno wrócili do swoich zwykłych spraw, a pan kościelny, szpakowaty jegomość w podeszłym wieku, z wyraźnym wysiłkiem przekręcał klucz w drzwiach od zakrystii. W jednym z mijanych po drodze domów, niedawno zresztą wybudowanych, którego elewacja lśniła jeszcze świeżą, jaskrawą, zieloną farbą, jakiś facet krzyczał opętańczo na swoją (najpewniej) żonę. Jego zły, podniesiony, chrapliwy głos wypadał przez otwarte okno, mieszając się z płaczem kilkuletniego dziecka, które – pozostawione samemu sobie – bawiło się jeszcze przed chwilą zupełnie beztrzesko z psem. Zwierzę uciekło jednak panicznie wystraszone do zbyt ciasnej budy, a chłopczyk rozbeczał się teraz już na dobre. Wszystko tutaj było jakieś sztuczne i złe. Nawet trawa nie była naturalna, co zdradzała zbyt soczysta jak na tę porę roku zieleń. Cały budynek wraz z otoczeniem emanował fałszywą, cyniczną, bezduszną wystawnością. Coraz bardziej wulgarny bulgot skacowanego zapewne mężczyzny odbił się od szerokiego, granitowego podjazdu, potem przeskoczył szpaler młodych, dopiero co posadzonych w równych odstępach iglaków, przez chwilę jeszcze mocując się z kutym, mosiężnym ogrodzeniem, aż wreszcie wypadł na puste pola, zatracając się ostatecznie w zeszłorocznych, uschniętych, przyprószonych brudną rdzą smutku trawach.

Szlak znowu zaczął się wyrывać, wierzgać, podskakiwać, pędzić, wspinać zakosami drogi, chcąc bezsprzecznie jak najszybciej uciec, pozbyć się tego całego neurotycznego balastu współczesności, zatonać wreszcie w miękkiej ciszy sosnowego

lasu. Nowobogackie domy panoszyły się jednak już niemalże wszędzie. Ciągłe zresztą przybywały kolejne. Te stare, czasami drewniane nawet, zwykłe i normalne ginęły powoli, rozlatywały się, rozpadały. Dawna Jura umierała, przeobrażała się, zmieniała w zastraszającym tempie. Wszystko zalewała krzycząca, jaskrawa tandetność pobrzękująca złotymi talarami. Taka postmodernistyczna pustynia najbardziej żarłocznego kapitalizmu. Koparki ryły ziemię bez ustanku, dniem i nocą. Ciężki sprzęt niszczył każdy centymetr krajobrazu, przyrody, gruntu. Na zaorywanych kiedyś pracowicie polach jak grzyby po deszczu piętrzyły się takie same, bliźniacze, trywialne w swojej istocie i niczym tak naprawdę nieróżniące się budynki. Ogromny garaż, parter z salonom przechodzącym płynnie w kuchnię, sypialne piętro, choć po kilku latach bycia razem i tak spało się już osobno, do tego jeszcze taras, ogród z iglakami i białym żwirkiem, przenośny grill, może jeszcze dmuchany basen. Wszystko to było jednak ostatecznie nudne, obce, brzydkie i tak bardzo straszące swoją koturnową, cyniczną, napuszczoną próżnością.

Las parował wieczornym, sytym chłodem. Szlak doszedł wreszcie do żółtych znaków, tych biegnących od Niegowonic rzecz jasna, i skręcił w prawo, na dobrze, niemalże na pamięć znany dukt. Z boku na pewno był Ostry Kamień, choć nie mieli już czasu, by zejść z drogi choć na chwilę, poszukać, zboczyć, pobłądzić. Musieli kroczyć dalej. Liście, które pozostały po ostatniej jesieni, szeleściły mistycznie. Pachniało zbutwiałym drewnem i zawsze wilgotnymi mchami.

Wędrowcy szli i rozmawiali z ożywieniem, patrzyli sobie w oczy, cieszyli się jak dzieci. Jeszcze tylko dwa zakręty. Krótka

prosta. Potem z lewej szlak od Rokitna i już blisko prawie, zaraz niemal, dwukolorowym, malachitowym łukiem tęczy wygiętej półkuliście nad zwalonym bukiem, do początku, tam, gdzie ranną porą leniwa kawa smakowała cierpkim kozim mlekiem, a zapach jej rozwianych nagłym podmuchem wiatru włosów był rozkoszną pieszczotą jakiegoś innego, niedającego się nazwać i określić, mistycznego niemalże wymiaru.

Słońce powoli zachodziło. Szlak schował się już w gęsty zagajnik młodych świerków, zadumany, zamyślony, powoli w końcu zasypiając. Wiedźma i Czarodziej zniknęli nagle, zdematerializowali się, rozplynęli w gęstniejącym półmroku. Absolutnie pewne było jednak, że wrócą tutaj, jak zawsze zresztą, każdego roku, dokładnie o tej samej porze. Tak – pojawią się znowu, to jasne i oczywiste, na styku światów, w gęstym płątaniu zapomnianych dróg, zarosłych ścieżek, tych im jedynie znanych skrótów. Oni. Alchemicy czasu. Poławiacze piękna, wędrowcy pogranicznych duktów, krain nieoczywistych, zasnutych mgłami, zawieszonych gdzieś w wieczności, tych baśniowych, zaczarowanych, otulonych magią uroczysk, turyści zakłęci.

Od autora

Jeśli dotarłeś do tego miejsca, szanowny Czytelniku, to znaczy, że zaufałeś drodze, szlakowi, tej czy innej jeszcze ścieżce. Szczerze Ci z tego powodu gratuluję. Mam nadzieję, że podróż, którą odbyłeś razem z Wiedźmą i Czarodziejem, była ciekawa, inspirująca, a nade wszystko twórcza. Wierz mi, że siedłem razem z Tobą, przeżywając przy okazji całą paletę najróżniejszych emocji, jakie zawsze przecież towarzyszą wędrowaniu. Może kiedyś wyruszymy jeszcze wspólnie na taką zupełnie spontaniczną, niezaplanowaną, szaloną eskapadę? Mam nadzieję, że tak!

„Pogranicza czasu. Opowieści magiczne” to moja druga książka. Z debiutanckimi, niemal bliźniaczo brzmiącymi „Pograniczami. Opowieściami nieoczywistymi” wydanymi w marcu 2023 roku łączą ją przede wszystkim postacie głównych bohaterów. Nie jest to jednak dosłowna kontynuacja pierwszej powieści. Każda z tych pozycji powinna być traktowana jako autonomiczna historia, a właściwie historie, bynajmniej nie pozbawione jednak punktów stycznych. Przy okazji pragnę podkreślić, że fikcja literacka przeplata się w mojej książce dość dowolnie z historycznymi faktami. Myślę, że śledzenie tych zależności może być niezwykle frapującym zajęciem.

Chciałbym też wyrazić w tym momencie wdzięczność kilku osobom, bez których „Pogranicza czasu. Opowieści magiczne”

nigdy by nie powstały. Po pierwsze dziękuję moim cudownym Rodzicom – za ogromną pomoc i wsparcie. Dziękuję też Tobie, Magdaleno. Każdego dnia po prostu byłaś, pomagałaś, wierzyłaś we mnie, a także poznawałaś poszczególne części mojej książki, tu i tam dając mi niezwykle cenne wskazówki. Zrobiłaś również fenomenalną okładkę, która po prostu mnie urzekła! Nie mogę oczywiście zapomnieć o Pani Katarzynie i Pani Marcie z wydawnictwa e-bookowo.pl, które zdecydowały się już po raz drugi mi zaufać i dać szansę. Dzięki ich ogromnej cierpliwości udało się szczęśliwie dobrać do celu – szczerze za to dziękuję.

Pisanie to komponowanie najbardziej subtelnej muzyki z pozornie bezwładnych słów, nadawanie im sensu, utrwalanie ulotnych impresji, wreszcie pokazywanie tego, czego normalnie być może nie widać i nie słysząc. Przychodzi jednak taki moment, że trzeba na chwilę odłożyć pióro, by potem móc tworzyć z jeszcze większą pasją. Tak, mój drogi Przyjacielu, to już koniec, to znaczy chyba koniec, no bo przecież na pograniczach czasu, tam gdzie najprawdziwsza magia przeplata się dość dowolnie z postrzegalną rzeczywistością, nigdy nic nie jest do końca pewne – ale to po przeczytaniu niniejszej książki, na pewno już bardzo dobrze wiesz. Do zobaczenia więc już wkrótce na nowych, pewnie jeszcze bardziej ciekawych szlakach!

Spis treści

Prolog	5
Pustynia	7
Pogranicza czasu	20
Śląskie kontrasty	39
Miłości nieszczęśliwej pałac	60
Ekstaza pożądania	76
Kolejowa impresja	107
Miasto duchów	140
Msza umarłych	169
Złoty Potok	194
Góra przeznaczenia	227
Opactwo w dębowym lesie	259
Demon kobiecości	276
Las szkieletów	292
Orawskie kontrapunkty	310
Wulkan namiętności	394
Epilog	460
Od autora	462

Słońce powoli zachodziło. Szlak schował się już w gęsty zagajnik młodych świerków, zadumany, zamyślony, powoli w końcu zasypiając. Wiedźma i Czarodziej zniknęły nagle, zdematerializowali się, rozplynęli w gęstniejącym półmroku. Absolutnie pewne było jednak, że wrócą tutaj, jak zawsze zresztą, każdego roku, dokładnie o tej samej porze. Tak – pojawią się znowu, to jasne i oczywiste, na styku światów, w gęstej plataninie zapomnianych dróg, zarosłych ścieżek, tych im jedynie znanych skrótów. Oni. Alchemicy czasu. Poławiacze piękna, wędrowcy pogranicznych duktów, krain nieoczywistych, zasnutych mgłami, zawieszonych gdzieś w wieczności, tych baśniowych, zaczarowanych, otulonych magią uroczysk, turyści zakłęci.

„Pogranicza czasu. Opowieści magiczne” to druga książka Autora. Z debiutanckimi, niemal bliźniaczo brzmiącymi „Pograniczami. Opowieściami nieoczywistymi” wydanymi w 2023 roku łączą ją przede wszystkim postacie głównych bohaterów. Nie jest to jednak dosłowna kontynuacja pierwszej powieści. Każda z tych pozycji powinna być traktowana jako autonomiczna historia, a właściwie historie, bynajmniej jednak nie pozbawione punktów stycznych.

Jesteście ciekawi historii Wiedźmy i Czarodzieja? Przeczytajcie koniecznie „Pogranicza czasu. Opowieści magiczne”. Ta książka bezsprzecznie odmieni Wasze życie, oczywiście na pewno w sensie jak najbardziej pozytywnym!



9 788381 664790

